Nr. 7. Październik 1887. Rok I.

Wychodzi w Krakowie co miesiąc. Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.; dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

OPIEKUN ZWIERZĄT

DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.

ORGAN

◁ KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA ▷

OCHRONY ZWIERZĄT.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Podzamcze, l. 3. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

Motto: „Człowiek najlitościwszy jest także najlepszy“.

Schopenhauer.

Odpowiedzialny redaktor:
Bronisław Gustawicz.

PRZYRODA w PIEŚNI.

NA PRZECHADZCE.[1]

Chodzę sam, samiutki,
koję myśli, smutki,
a miła przyroda
cała ma osłoda.

Wszędzie ruch i życie,
toż i serca bicie
tutaj jest silniejsze
i myśli wznioślejsze!

Czy szumią drzew liście,
wdzięcznie, uroczyście,
czy zboże się chyli,
sercu coraz milej.

A gdy ptak zanuci,
dusza się ma cuci;
chciałbym być skrzydlaty
i wznieść się nad światy.

Tam bujać w przestworze,
Ciebie szukać, Boże,
i w dziękczynnym pieniu
czcić Cię w uniesieniu.

Lecz — gdyś tu mię stawił,
to Cię będę sławił,
z przyrodą, jak człowiek,
do zawarcia powiek.

Za piękno i czary,
za cuda bez miary,
niech wszelkie stworzenie
śle Ci uwielbienie.

Tyś Mistrzem i Panem,
możesz być poznanym
z bliska i daleka, —
Tyś celem człowieka!

Gdy serce w niezgodzie,
to w Twojej przyrodzie,
gdzie dziwy prawdziwe —
może być szczęśliwe.

Józef Chmielewski.

---

1) Przyrodnik. Nr. 16. 1887.

PIES

w przysłowiach polskich i zwrotach mowy.

Zestawił

S. U.

Dokończenie.

Głodzone psy włóczą się po domach, zaglądają w każdy kąt, szukając pożywienia, a znalazszy co, wyjadają z misek i garnków zostawione bez dozoru i bez zamknięcia jedzenie, więc mówi się:

64. Nie trzeba psu łyżki,
Aby se wziął z miski.
65. Gadu, gadu, a psy w krupach.
66. Zjadł pies sadło (poczuwa się do winy).
67. Do konia łotra masztalerza, psa do spiżarni, do króla łgarza bez szkody nie zapuści żaden.
68. Tak mu jest, jakby mu psi krupy zjedli.
69. Tak temu rad, jakby mu psi obiad zjedli.
70. Kościelnych muchów, psów (bo głodne), gachów, gdzie się wnęcą, trudno wygnać;
Gdzie się to bydło wnęci, trudno go odegnać,
Musi dom kijem kropić, a kosturem żegnać.

Głodne psy, włóczące się za pożywieniem, muszą je sobie często zdobywać, stąd staczają ze sobą walki zajadłe o lada kość, a bystry umysł ludu, który wszystko spostrzega, porównywa, używa na ten temat znowu takich przysłów:

71. Odgryza się, jak pies.
72. Kochają się, jak bracia, a żrą się, jak psi.
73. Zje pies psa, kiedy zająca nie ma.
74. Pies psu ogona nie urwie.
75. Gdzie dwa koty, a jeden szczur,
Dwie gospodynie, a jeden dwór,
Gdzie jeden koń, a dwa brytany,
Tam spokój święty jest nieznany.

Ale najsmutniejsza dola psa łańcuchowego, który o głodzie, bez garści słomy na legowisko, na słocie i mrozie, nędzne życie wiedzie, nie zasłużywszy sobie nawet na uznanie. Stąd przysłowia:

76. Lepiéj kotowi na ognisku,
Niźli psu na wietrzysku.
77. Źle tam i psa wygnać.
78. Psia służba.
79. Zimno, jak w psiarni
80. Psu na budę się n e zda.

To też lud znając tę nędzną dolę psa, gdy w jasełkach wyprowadza na scenę żyda, wkłada w usta jego następujące słowa:

81. Dziękuję Ci, Panie Boże, żeś mię nie stworzył
ani psem, ani kotem,
Bo to djabli po têm;
Ale poczciwym Abramkiem,
Żebym siedział za kramkiem,
Fajeczkę kurzył
I ludzi durzył.

Lecz co dziwne, że nie dosyć na tym, iż chowając psy, nie dajemy im jeść, nie mamy najmniejszego o nich starania, bijemy je, znęcamy się nad nimi, ale wiedząc, jakie usługi wyświadczają nam te zwierzęta i nie mogąc się obejść bez nich w wielu wypadkach, okrywamy je pomimo to wzgardą i z tą cechą wzgardy używamy w mowie wielu przysłów i wyrażeń.

82. Kopnął go, jak psa.
83. Wypędził go z domu, jak psa.
84. Stoi, jak pies pode drzwiami.
85 Łże, jak pies.
86 Zeszedł na psa (na biedę).
87. Psy wyją, a miesiąc świeci.
88. Pies szczeka, a wiatr niesie.
89. Wolno psu na Pana Boga szczekać.
90. Psie głosy
Nie idą pod niebiosy.
91. Psu oczy sprzedał (bezwstydny).
92. Szkoda, że psy pasie (prowadzi się niemoralnie).
93. Nie szkoda psa, kiedy go mucha żre.
94. Morze się nie skala, chociaż psy z niego wodę piją (rosyjskie).
95. Psy na kim wieszać.

Wzgarda dla psa doszła do tego stopnia, że nazwanie kogo psem, uważane bywa za najwięcéj ubliżające przezwisko, a prze-

zwisko to w różny sposób wyrażane, słyszymy zawsze i wszędzie, jak n. p.

96—107. Psia krew, psia jucha, psia dusza, psia para, psia noga, psia sierść, psia wełna, psia kość, psia chręść, psia kula, psia morda, psie ścierwo, i t. d, a wyzywanie takie ma nawet w ludowéj gwarze osobne wyrażenie: »psioczyć kogo«.

Wskutek téj bezwzględnéj pogardy dla psa powstały nawet przysłowia, które odmawiają psu doświadczonéj i wypróbowanéj zalety, jaką jest jego wierność i wdzięczność, i mówią:

108. I pies ogonem nie kiwnie, jak mu chleba nie dasz.

109. Wychował sobie na swoję nóżkę pieska.

Nie braknie także przysłów, w których użyto psa wcale dowcipnie, a do takich należą:

110. Bodaj tyle pies płakał.

111. Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie umié.

112. Kto z psami lega, ten z pchłami wstaje.

113. Tyle ma myśli w głowie, co pies pcheł.

114. Wdzięczy się, jak pies nad przewozem.

115. Wdzięczy się, jak suczka w popiele.

Skóry psów wyprawiano podobno dawniéj na bębny wojskowe; stąd to mówią:

116. Kto nie słucha ojca, matki, niech słucha psiéj skóry co ma znaczyć, że i najzuchwalszy względem rodziców musi być posłuszny komendzie wojskowéj.

Na zakończenie przytoczyć wypada cały szereg przysłów, w których wprawdzie o psie jest wzmianka, ale które nie zostały wysnute, ani z uwagi na przymioty lub wady psa, na jego życie i zwyczaje, ani na stosunek psa do człowieka; lecz że pies jest zawsze pod ręką, więc nie zastanawiając się wiele, wprowadzono go w przysłowie.

117. Chłop ze wsi Dysa
Przedał psa żydowi za lisa. [1]

118. Daj kobyle owsa,
Żeby nie szła do psa.

119. Dopiero mu owca,

---

[1]) Alias: Tak ten świat umie, iż chłop ze wsi Dysa
Przedał w Lublinie żydu psa za lisa. (Bratkowski, 1697.)
Przysłowie to wyjęte z broszury z XVI. w. p. t. „Złote jarzmo małżeńskie“. – Wieś Dyss leży w pow. lubartowskim, w pobliżu Lublina.

Kiedy idzie do psa.
120. Jaki pies do kościoła, taki i z kościoła.
121. Kruk chowany i psu oczy wydłubie.
122. Kto chce psa uderzyć, łatwo kij znajdzie.
123. Kto chce psa uderzyć, nawet kija nie potrzebuje.
124. Kto za kim ręczy,
Tego pies męczy.[1]
125. Leż sobie, leż,
Przyniesie ci kukiełeczkę pies.
126 Na psa urok.
127. Naści piesku! A nie chcę!
Masz tobie piesku! Nie daj mu, daj mnie.
128. Nie jednemu psu Łysek.
129. Nie psi i tu szczekają.
130. Ni to pies, ni to baran.
131. Ni to pies, ni to stołek sękaty.
132. Pół - psa, pół - kozy,
Niedowiarek Boży.
133. Podobny, jak pies do wiązki siana.
134. Psy od przewozu nie płacą.
135. Rudy, jak pies.
136 Ten o psie i o pałkach,
A ten o fijołkach (prawi).
137. Za psie pieniądze.
138. Zmięte, jak gdyby psu z gardła wyjął.

Nie podajemy tutaj znaczenia tych przysłów i sposobu ich użycia, gdyż nie piszemy studyjum filozoficznego, ani filologicznego; chcieliśmy tylko zwrócić uwagę miłośników przyrody i etnografii na tę stronę przyrodoznawstwa ludu, która była podstawą utworzenia się powyżej przytoczonych przysłów i która razem z przesądami i innymi wierzeniami może dać wyobrażenie o wiedzy ludowej z dziedziny przyrody.

A więc ponieważ nie mieliśmy zamiaru pisania rozprawki uczonej dla uczonych, to też nie przytaczamy źródeł, z których zebraliśmy powyższe przysłowia, gdyż dzieł, broszur i różnych artykułów dotyczących tego przedmiotu mamy już kilkadziesiąt, a wyliczanie ich byłoby więcej nudne, niż pożyteczne dla Szanownych Czytelników Opiekuna Zwierząt.

---

[1]) Alias: Kto za kim ręczy,
Tego bies męczy.

Z ŻYCIA BOCIANA.

Przez

St. P.

To ptak domowy, pożytek go taki:
Jadowite, sprosne trawi robaki,
i przetoż rzadko myśliwiec nań jedzie,
nie rad go jada na swoim obiedzie.
Mateusz Cygański.

Z wiosną przyleciały bociany. Lud wiejski wyszedł z domów na ich powitanie; radość zajaśniała wszędzie, otucha w serce wstąpiła; zdawało się, że boćki przynoszą z nową wiosną szczęście i zapał do nowéj, na ojczystéj ziemi pracy. Bociany poznają dawnych swoich znajomych, klekocą wesoło, a żegnając się wzajemnie, każdy do innéj podąża kwatery.

Wśród wsi, na strzesze kmiecéj stodoły, oddawna mieścił się w wygodnym gnieździe bocian; znali go wszyscy, bo miał być ładniejszy od innych, a dzwięczniéj i rzewniéj klekotał, niż inne bociany; niekiedy nawet wcześniéj z cieplejszych krain do ulubionéj swéj zlatywał wioski. Zwano go też pospolicie **Wojtusiem** a kochano go tak, że, gdy nieraz wcześniéj do nas zleciał i żeru na ściętych od mrozu łąkach nie znalazł, ludzie znosili mu żywność, aby na swoim przednowku nie zginął.

Dzisiaj zleciał Wojtuś, ale nie sam. Miał przy boku swoim samiczkę, któréj na krok nie odstępował. Razem z nią mieścił się wygodnie na gnieździe, w takt z nią klekotał, jakby się cieszył, że Bóg pozwolił i jemu mieć swoje ognisko domowe. Siedzieli sobie téż często razem i w świat daleki z wysokiego gniazda patrzeli; czasem wylatywali na żér, ale ani na chwilę jedno drugiego nie odstępowało. I bocian był szczęśliwy. A gdy ona zaczęła młode wysiadywać, bociek strzegł jéj jak oka w głowie; nocy całe na straży przy niéj przepędzał, a raniutko wczas gdy jeszcze spała, wylatywał na żér i wkrótce powracał niepróżno; siadał przy niéj, karmił i baczył, aby jéj niczego nie brakowało. Ludzie wiejscy, co z tym swoim Wojtusiem prawie się zżyli, dziwili się takiemu przywiązaniu i miłości bociana i mówili: «Mój Boże, takie to niby nieme stworzenia, a tak lubią zgodę i miłość wzajemną». Wkrótce też samica wysiedziała pięć małych bocianków. Wojtuś cieszył się tym nowym szczęściem niezmiernie, klekotał bezustannie, to w gnieździe przysiadał, to obawiając się, aby dzieciom nie było w nim ciasno, wzbijał się wysoko ponad

strzechę, krążył, koła ogromne zataczając, i dumnie spoglądał w świat, jakby chciał mówić: «Patrzcie, jakim szczęśliwy!» Pracę swoję podwoił, pięć dziobów, pięć żołądków przybyło mu do wyżywienia; młode potrzebowały ciepła, trzeba było czasem o głodzie w gnieździe przesiedzieć, zasłaniając dziatwę od słoty i wichrów.

Samica jednak okazywała dziatwie mniéj czułości; zaczęła nawet powoli wydalać się z gniazda, z początku na chwilę niby za żerem, potym coraz dłużéj widać jéj nie było. Wojtuś upojony swoim szczęściem, dłużéj teraz musiał przesiadywać w gniazdku, młode pieścił, ogrzewał, karmił, a za gosposią swoją bardzo tęsknił. Zawsze jednak samiczka wracała, ale już niewesoła, jak dawniéj, chmurna nawet i jakaś smutna; dzieci nie pieściła tak czule, jak dawniéj, a na Wojtusia to i mało spoglądała. Dziwił się bociek tak nagłéj jéj zmianie, ale przyczyny dociec nie mógł. «Może głodna — myślał — polecę na bagna, przyniosę żabek najpiękniejszych, nakarmię biedaczkę.» I wylatywał coraz daléj, bo na bliższych łąkach żeru nie stało, przynosił co mógł, sam sobie od dzióba odejmując, byle tylko matka i dzieci głodu nie cierpiały.

Ale wszystkie te dowody miłości i przywiązania samica obojętnie przyjmowała, chmurna była ciągle i w jednę zawsze zapatrzona stronę. Nieraz wpawdzie bociek powracając z żeru, widział nad gniazdem innego bociana, szerokie zataczającego koła, ale czyż mógł myśleć, że to niepoczciwiec jakiś, co mu chce spokój domowy zamącić i zabrać dla siebie samicę? Nie podejrzywał o to nikogo, posmutniał tylko sam, bo nie wiedział już co czynić, aby dawną wesołość i przywiązanie doń samicy przywrócić.

Spadł deszcz i słota trwała dni kilka. Rodzice musieli przesiedzieć jakiś czas w gnieździe, a gdy po długiéj niepogodzie nanowo zajaśniało słońce, bociek wyleciał na żer. Wieczorem już powracał; zbliża się do gniazda, oczom własnym wierzyć nie chce, gniazdo było...... próżne. Ani samicy, ani dzieci, nie ma nikogo. Stanął na jednéj nodze, zaklekotał raz i drugi, myśląc, że wszyscy za żerem wylecieli; czekał chwilę, czekał dłużéj, noc już zapada, nie ma nikogo. Usiadł sam w gnieździe, zrozpaczony, nie wiedząc co począć. «Czy nieprzyjaciel — myślał — przybył i zabrał mi wszystkich?» Nikt mu na to nie umiał odpowiedzieć. Straszno było samemu Wojtusiowi w tym gniazdku, gdzie przed chwilą pozostawił samicę i pię-

cioro młodych. Bezsenną noc przepędził biedny bocian w osamotnionéj chacie, a gdy tylko piérwsze zabłysły zorze, zerwał się jak szalony, i poleciał w świat ich szukać. Przelatywał ponad wsi, góry i doliny, spoglądał na kopuły wieżyc kościelnych, a z rodziny jego ani śladu. Widział na gniazdach innych bocianów i zazdrościł im szczęścia, jakim sam cieszył się niedawno. Osłabł wkońcu, spuścił się na dolinę i począł szukać żeru, bo głód naprawdę mu dokuczał.

Kiedy tak zajęty wyszukiwaniem żeru, znany mu nad sobą usłyszał klekot; spojrzał więc w górę, samica w towarzystwie innego bociana przelatywała na swoje gniazdo. Wojtuś żer porzucił i puścił się w pogoń za niewierną samicą i jéj towarzyszem, dopadł ich na gnieździe, które sam dla siebie i dzieci zbudował; z wściekłością rzucił się na przybysza i wszczęła się walka nierówna. Z jednéj strony zdradzony Wojtuś, z drugiéj niewierna samica i niepoczciwy przybysz. Krew zaczęła barwić śnieżnobiałe pióra boćków, słychać było jęki walczących, chrzęst dzióbów potężnych i głuchy klekot sąsiadów, którzy zlecieli się z pobliskich okolic, aby byli świadkami zemsty zdradzonego boćka. Rozpacz dodała Wojtusiowi męstwa i siły; zmęczony wzbił się ponad gniazdo, odpoczął chwilę, a potym z podwójną zaciętością rzucił się na wrogów, jednym uderzeniem potężnego dzióba powalił niewierną samicę, co widząc przybysz uleciał daleko zbroczony krwią, co mu już na piórach i dzióbie zaschła jakby na świadectwo jego szkaradnego czynu.

Wojtuś został sam, ledwie żywy z rozpaczy i wysilenia, u stóp jego, na tymsamym miejscu, gdzie z wiosną takim domowym cieszył się szczęściem, został trup samicy przez niego zamordowanéj. I Wojtuś umilkł na zawsze. Nikt odtąd klekotu jego nie słyszał, a gdy przypomniał sobie szkaradny występek swojéj towarzyszki i jéj wiarołomstwo, krew w nim nanowo zawrzała; z oburzeniem więc trupa z gniazda wyrzucił i obojętnie już patrzał, jak psy na wszystkie targały go strony.

I w gnieździe pozostał teraz Wojtuś sam, sam jak palec na świecie, bo nie miał już nikogo, ktoby mu w podróży do obcych towarzyszył krajów. Towarzyszki nie miał, dzieci rozprószyły się po świecie, a inne bociany unikały go, bo był napiętnowany zbrodnią.

Przyszła jesień. Bocian smutny, od wszystkich opuszczony, siadywał w gnieździe sam, głowę między skrzydła chował, czasem tylko dzib zwracał do góry, jakby się Bogu skarżył na

swoję niedolę; w gnieździe były jeszcze ślady skrzepłéj krwi, któréj nawet deszcz jesienny spłukać nie chciał.

Wreszcie wszystkie bociany zgromadziły się na wielką radę; od kogo one taki otrzymały rozkaz, nie wiadomo, dość, że się zleciały wszystkie, a nasz bociek stawił się także. Takie zgromadzenia odbywają bociany zawsze, nim do obcych podążą krajów. Tu wytoczono proces niektórym bocianom. Ten przywłaszczył sobie cudze gniazdo — krzyczano, ów często z drugimi rwał się do bójki, tamten wreszcie na swojéj łące drugiemu żeru szukać nie pozwolił; te i tym podobne wytaczano sprawy, a sędzia i przysięgli odpowiednie nakładali kary. Przyszła na stół sprawa naszego Wojtusia. Obwiniono go, i słusznie, że zamordował swoję samicę, a co gorsza ciało jéj z gniazda psom na pożarcie wyrzucił. «Kara śmierci! — wołano — śmierć za śmierć! to okrutnik! zbójca! zabić go!» On stał smutny, przygnębiony, ale obojętny; wszystko mu było jedno, stracił szczęście rodzinne, utracił spokój domowy, nie miał przyjaciół, cóż mu było po życiu? Ale ów smutek wzruszył niektórych przysięgłych; pomimo, że nie badano powodów, które skłoniły go do zbrodni, zmieniono mu doraźną karę śmierci na «pozostanie w kraju przez zimę». Wiedział bociek, co znaczy owo «pozostanie w kraju przez zimę», wiedział, że to również śmierć, tym straszniejsza, bo głodowa. Wyrok przyjął w milczeniu, skrył głowę pod skrzydła i stał... Szczęśliwi towarzysze jego, skończywszy narady, zerwali się, zaklekotali wesoło, wzbili się wysoko i jednym długim szeregiem puścili się w świat daleki. Wojtuś został sam, nie jadł nic, i o zaspokojenie głodu wcale nie myślał. Powoli roztoczył skrzydła i na dawne swoje gniazdo przyleciał. Ubiegłe lato, jego dawne szczęście rodzinne, a potym zdrada towarzyszki życia i ostatni wyrok śmierci, wszystko to stanęło mu teraz przed oczyma, posmutniał jeszcze więcéj.

«Co to znaczy, mówili ludzie, wszystkie bociany odleciały, a nasz został?»

Wojtuś tymczasem okrążył kilkakroć gniazdo, jakby je miał pożegnać, wzleciał potym wysoko... wysoko... nad wieżycę kościoła, potym zwinął skrzydła i jak kula z ogromnéj wysokości rzucił się na dół, spadając nasamprzód na wieżę, a z niéj na bruk cmentarny!...

Ludzie podbiegli, podnieśli biednego bociana, oblali wodą, ale to nic nie pomogło, — Wojtuś nie żył!...

Zmyślność jaskółek.

W 14. numerze »Przyrodnika« jest wzmianka o jaskółce, która zaplątała się w pętelkę sznura, przeciągniętego z jednéj rynny do drugiéj i w ten sposób przez swe towarzyszki uwolnioną została, że po kolei przylatywały i uderzały dzióbem w jedno miejsce sznura tak długo, dopóki więzień swobodnie nie uleciał.

O niemniejszéj zmyślności jaskółek świadczy następujący fakt. W jednym ze zabudowań kolejowych w Krakowie znajduje się obszerny pokój, gdzie pompa parowa z wielkim hałasem przez większą część dnia wodę pompuje. Nie dały się tym hałasem jaskółki odstraszyć, ale pobudowały sobie kilka gniazd przy ścianie pod sufitem w pobliżu wielkiego zbiornika wody. Tu czuły się całkiem bezpieczne; dzień i noc otwarte okienko nad drzwiami zapewniało im swobodę wylatywania i wlatywania tak, że już od kilku lat gnieżdżą się w tymsamym miejscu i co roku jedno gniazdko więcéj przybywa. Opowiadał mi kierujący machiną, że skoro na wiosnę wcześnie się zjawią, a okienko zamknięte zastają, latają z wielkim piskiem wokoło, dopóki na siebie uwagi nie zwrócą i do wnętrza się nie dostaną. Tutaj obleciawszy kilkakrotnie pokój, przystępują zwolna do naprawy gniazd i rozpoczynają nanowo dawny swój tryb życia. Ostatniego roku jednéj parze jaskółek ściana koło sufitu nie wydawała się dosyć bezpieczną; z tego powodu obrały sobie na gniazdeczko inne miejsce. Oto ze środka sufitu zwisa na dół zwyczajna lampa naftowa, umieszczona na bloczkach tak, że można ją zapomocą łańcuszków znieść i podnosić. Jaskółki zbudowały sobie na samych bloczkach gniazdo; znajduje się ono więc tuż pod sufitem, nie dotykając jednak nigdzie sufitu. Mogą one swobodnie z każdéj strony do gniazda się dostać. Lampę można, jak i dawniéj, na dół spuszczać; chociaż bloczki wśród ściany gniazda się znajdują, to poruszenie to wcale nie płoszy jaskółki. Sam wprawiałem w dość silny ruch wahadłowy lampę, a więc i gniazdo, a jaskółki sobie nic z tego nie robiły.

Widać, że jaskółki doskonale umieją się zastósować do okoliczności, a sposób budowania gniazd z boku uczepionych nie jest u nich nieprzepartą koniecznością i łatwo zmieniony być może.

Gdy przez kilka dni pora dżdżysta panuje, jaskółki są

w niemałym kłopocie o swe pożywienie. Wszystkie skrzydlate owady chowają się przed deszczem, a jaskółki daremnie za zdobyczą latają. A jednak potrafią one sobie w tym razie poradzić. Widziałem raz w czasie deszczu jaskółki, latające tłumnie koło muru, okrytego małym daszkiem. Każda z nich podlatywała pod daszek, jakby się chciała pod niego schronić i odlatywała daléj, robiąc miejsce drugim, zbliżywszy się do muru zobaczyłem powód tego postępowania. Pod daszkiem siedziała niezliczona ilość much. Jaskółki podlatywały tak blisko pod daszek, że muskały skrzydłami mur. Spłoszone tym sposobem muchy zlatywały i stawały się zdobyczą zgłodniałych jaskółek.

Dr. J. Limbach.

O OCHRONIE PSÓW.

Między innymi zwrócił Wydział krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt szczególniejszą uwagę na dręczenia psów, dokonywane przez oprawcę i pomocników jego. Już przed 10 laty udało się tutejsze towarzystwo ochrony zwierząt do Magistratu z prośbą (20. IX. 1877, l. 8):

1) aby oprawca zaniechał barbarzyńskiego chwytania psów na sznur i natomiast używał siatki, jakto się indziéj dzieje (Bruxela);

2) aby oprawca pochwycone psy wygodnie umieszczał, takowe w podesłanie ze słomy i w wodę do picia zaopatrywał, komorki należycie czysto utrzymywał; psów zabitych w bezpośredniéj bliskości nie trzymał, psy za stosownym wynagrodzeniem należycie karmił;

3) aby oprawca nie jeździł po ulicach i rynku miasta Krakowa w tym czasie, kiedy młodzież obojga płci udaje się do szkoły lub ze szkoły powraca do domu.

Magistrat w odpowiedzi swojéj z dnia 1. XII. 1877 l. 170 na tę odezwę oznajmił, że wyznaczono do łapania psów stosowniejsze godziny.

Ponieważ owe stosowniejsze do łapania psów godziny pozostały tylko na papierze, ponieważ jak się okazało, oprawca jeździ bardzo często po mieście przed ósmą godziną zrana aż do samego południa, a młodzież szkolna dla błogiego wpływu

zdrożności na rozwój uczucia przypatruje się gromadnie nieludzkiemu postępowaniu oprawcy i jego pomocników przy łapaniu psów na sznur i wrzucaniu ich do budy, nareszcie oprawca i pomocnicy wobec przechodniów zachowują się gburowato i swoję zuchwałość do tego stopnia posuwają, iż z trotoarów spędzają psy na ulicę, niepokojąc tym sposobem przechodniów wśród świstów i wrzasków, wniósł Wydział powtórnie do Magistratu przedstawienie z d. 17. XII. 1878 l. 35 z prośbą:

1) aby oprawca odbywał łowy na psy, czy w lecie, czy w zimie, do godziny 7½ zrana;

2) aby oprawcy podczas każdéj objażdżki towarzyszył żołnierz policyjny;

3) aby oprawca codzień inną dzielnicę miasta objeżdżał według regulaminu, jaki uchwali Świetna Reprezentacyja miejska.

Prośbę poparliśmy rozporządzeniami istniejącymi w Warszawie, Petersburgu, Rydze, Mitawie, we Lwowie i Przemyślu, a dotyczącymi oprawcy.

Na powyższą odezwę otrzymaliśmy odpowiedź od Prześwietnego Prezydyjum Magistratu z dnia 12. I. 1879 l. 33876, że komisyja sanitarna, przez Radę miejską ustanowiona, zajmuje się ułożeniem instrukcyi dla oprawcy i że téjże wnioski naszego Stowarzyszenia do możliwego uwzględnienia przy redagowaniu instrukcyi przedłożone zostaną.

Dalsze badania towarzystwa wykazały, że psy przez oprawcę schwytane nie znajdują u niego należytego umieszczenia. W wielkim budynku drewnianym, nie mającym żadnego oświetlenia, były dwie klatki, jedna dla psów małych, druga dla większych. Pierwsza nie mierząca nawet metra długości, a pół metra wysokości i szerokości, mieściła w sobie niekiedy dziesięć psów małych i średnich, nie mogących w skutek ciasnoty ruszyć się lub obrócić. Takie umieszczenie rozmaitych psów, między którymi mogą się znajdować zdrowe i chore psy, w tak ciasnéj klatce jest istnym przekroczeniem rozporządzenia ministeryjalnego z 15. II. 1855 r. Schwytane psy, jako cudza własność, powinny być szanowane i jakto dzieje się indziéj np. w Hamburgu, Hanowerze, Rydze, Florencyi, Brukseli itd., umieszczane każdy w osobnéj komórce, aby zdrowe psy nie stykały się z chorymi. W tym nieodpowiednim umieszczeniu, jakoteż nieludzkim obchodzeniu się z psami przez oprawcę szukać należy głównego źródła niebezpiecznych chorób

psich, przedewszystkim wścieklizny, gdyż pies najzdrowszy dostawszy się między chore, zaraża się, a wykupiony przez pana swego lub nabyty przez kogo innego staje się dlań i jego otoczenia niebezpiecznym.

Obok należytego umieszczenia powinny psy być odpowiednio żywione i pojone. Również nie powinien oprawca w bliskości komórek trzymać zabite psy i konie, gdyż widok odartych ze skóry psów i koni dla każdego jest wstrętnym.

Z tych to powodów Wydział wniósł przedstawienie z 12. I. 1879 r. l. 71 do Magistratu z prośbą:

1) aby budynek, w którym oprawca psy trzyma, był jedynie dla psów przeznaczony;

2) aby ten budynek był w jak największéj czystości i porządku utrzymywanym;

3) aby oprawca należycie psy utrzymywał, takowe żywił i poił za stosownym stale wyznaczonym wynagrodzeniem;

4) aby oprawca w bezpośredniéj bliskości komórek nie trzymał zabitych psów i koni.

Do dogodnego umieszczenia psów u oprawcy posłużyć może urządzenie schroniska, jak to jest indziéj. Wydział zaproponował wówczas Magistratowi urządzenie schroniska i przedłożył nawet plany schroniska istniejącego w Hanowerze wraz z opisem i kosztorysem, o którym to schronisku pisaliśmy w ostatnim numerze Opiekuna.

Również załączono rysunek wozu używanego w Hanowerze do przewożenia złapanych psów.

Wiadomo, że oprawca nie wykupione psy po upływie pewnego przeciągu czasu zabija i to przez uderzanie pałką w głowę. Ten sposób zabijania wymaga wielkiéj wprawy i zręczności, jeżeli zwierzę ma być przy tym wszystkim wolne od niepotrzebnych cierpień i męczarni, które mu się zadaje przez nienależyte zabicie. Często bowiem zdarza się, że psy przez oprawcę lub jego pomocników pałką uderzone na półżywe odrzucone na bok pozostają w największych męczarniach, zanim żyć przestaną. Na międzynarodowym kongresie towarzystw ochrony zwierząt, który odbył się w Paryżu w czasie wystawy powszechnéj w lipcu 1878 r., uznano za barbarzyństwo zabijanie psów przez wieszanie i uderzanie pałką; również nie zgodzono się na trucie tychże zapomocą k w a s u p r u s k i e g o. Jeden tylko sposób, tak zwany a m e r y k a ń s k i, okazał się najdogodniej-

szym i najpraktyczniejszym. Polega on na odurzeniu zwierzęcia tlenkiem węgla. Jest on powszechny we wszystkich miastach amerykańskich, a na lądzie europejskim wszedł w życie w miastach Florencyi, Rzymie i Palermie.

Ku temu celowi służy tak zwana komora asfiksyjna (chambre d'asphyxie). Komora, jakiéj w Florencyi używają, ma postać budynku prostokątnego zbudowanego z cegieł, 2·7 m. długa, 1 3 m. szeroka, 1·51 m wysoka. Posadzka jest nieco pochyloną, a powała sklepioną. W komorze téj zmieści się wygodnie 12 do 18 psów.

Główne drzwi, otwierające się na zewnątrz, dają się szczelnie zamknąć. Wewnątrz komory w odległości 40 cm. od głównych drzwi znajdują się kratki żelazne, otwierające się również na zewnątrz. t. j. ku głównym drzwiom. Między drzwiami głównymi a tą kratką ustawia się naczyńka z żarzącymi węglami.

W bocznéj ścianie komory znajduje się dogodne dla widza okienko, opatrzone podwójną szybą, a od wnętrza kratą żelazną. Podobnież ściana tylna i górna mają po jednym takim okienku. Każde z nich jest opatrzone podwójną szybą i zameczkiem. W ścianie tylnéj naprzeciwko głównych drzwi téj komory znajduje się jeden lub więcéj bloków według potrzeby. Są one umocowane w pewnéj wysokości ściany. Przez te bloki przechodzą sznury, których jeden koniec wprowadza się przez górne okienko do wnę rza komory aż do głównych drzwi, drugi zaś koniec znajduje się zewnątrz budynku i zaczepia się na haku wbitym w mur we wysokości takiéj, aby oprawca mógł go dogodnie ręką dosięgnąć.

Z przyległych komórek wyprowadza stróż rzeźni miejskiéj niewykupione psy na łańcuchach i zaprowadza je po cztery lub pięć do głównych drzwi komory; tutaj przypina łańcuchy, na których znachodzą się psy, do pierścienia znajdującego się na jednym końcu wzmiankowanego sznura. Odjąwszy drugi koniec jego z haka, zmusza pociągnięciem za sznur najgryźliwsze psy do wejścia do komory.

Przypuściwszy, że jeszcze drugą grupę psów ma wprowadzić do komory asfiksyjnéj, przypina je do pierścienia drugiego sznura, przechodzącego przez drugi blok i postępuje jak poprzednio. Potym zamknąwszy kratę żelazną zapomocą zamka, wyciąga sznur lub sznury przez górne okienko i odpina z nich łańcuchy. Skutkiem tego psy mogą w komorze wolno się po-

ruszać. Następnie wstawia jedno lub kilka naczyniek przygotowanych z żarzącymi węglami w naznaczone miejsca; wreszcie zamyka główne drzwi i wszystkie okienka jak najszczelniéj. Wskutek odurzenia tlenkiem węgla psy zasypiają i giną bez cierpień. Na to potrzeba 15 minut czasu. Po téj operacyi otwiera dozorca okienka od zewnątrz, wpuszcza świeże powietrze i wynosi nieżywe psy.

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt porozumiawszy się z Florenckim towarzystwem i otrzymawszy pożądane instrukcyje i plany, zaproponowało w odezwie z 15 I. 1879 l. 75. Magistratowi krakowskiemu powyższy sposób zabijania psów, a tymsamym i urządzenie komory asfiksyjnéj, przyczym załączyło plany takiéjże komory istniejącéj we Florencyi. Komisyja sanitarna, któréj Magistrat odstąpił tę sprawę, nie uwzględniła wcale tego podania, jako téż podania tyczącego się schroniska przy układaniu nowego regulaminu dla oprawcy, nawet nie raczyła wziąć pod obrady naszych bardzo pożytecznych wniosków na posiedzeniu odbytym 11. III. 1879. Ponieważ brutalstwo i okrucieństwo dokonywane na psach przez oprawców publicznie na rynku i ulicach miasta naszego przechodzą wszelkie opisy i oprócz karygodnego pastwienia się, bardzo szkodliwy wpływ wywierają na ludność i demoralizują młodzież, wniosło przeto Towarzystwo do Wys. c. k. Namiestnictwa przedstawienie (z 20. paźdź. 1879. l. 128) z prośbą o zarządzenie:

1) aby oprawca odbywał łowy na psy czy to w lecie, czy to w zimie do godziny 7½ zrana i to zapomocą siatki

2) aby oprawcy podczas każdéj objażdżki towarzyszył żołnierz policyjny;

3) aby oprawca pochwycone psy wygodnie w oddzielnych komórkach umieszczał, takowe w podesłanie ze słomy i w wodę do picia zaopatrywał; komórki czysto utrzymywał; psów zabitych i innych zwierząt w sąsiedztwie komórek nie trzymał; aby psy za stósownym wynagrodzeniem należycie żywił;

4) aby oprawca w czasie objażdżki przyjmował przepisany wykup psa i takowego właścicielowi natychmiast oddawał;

5) aby oprawca codzień inną dzielnicę miasta objeżdżał według danego mu polecenia i tylko w wskazanéj dzielnicy psy łapał.

Dok. nast.

Członkowie Krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt.

Od 15. września do 22. października.

a) w Krakowie:

Wni: **Bieliński** Kaźmirz, Szk. przem. — **Bobek** Kaźmirz, prof. gimn. — **Gładysiewicz** Klemens, dyr. arch. mag. — Dr. **Jaworowski** Antoni, prof. gimn. — **Lipowski** Stefan, urzędn mag. — **Łaski** Ludwik, radca sądowy. — **Morgulec** Stanisław. —

b) w Wieliczce:

Wny **Leńczowski** Stefan.

c) w różnych miejscowościach:

Wna Pani **Weigel** Karolina, Ispina, p. Grobla. — Wni: **Gunkiewicz** Leon, prof. gimn, Wadowice. — **Niementowski** Jan, naucz., Łużek dolny, p. Kranzberg. — **Trzepia** Kaźmirz, organista, Zabierzów, p. Niepołomice. —

Delegaci Krakowskiego Stowarzyszenia ochr. zw.

1) X. **Bożentowicz** Ludwik (na pow. Bóbrka). — X. **Chudyba** Stanisław (na Niepołomice i okolicę). — Dyr. **Groele** Franciszek (na Wieliczkę i okolicę). — Prof. **Bernardy** Stanisław, (na pow. Myślenice). — Prof. **Czyński** Czesław (na Podgórze i okolicę). — Prof. **Gunkiewicz** Leon (na powiat Wadowice). — Prof. **Morawski** Zygmunt (na Tarnów i okolicę).

ODEZWA.

Kto nie ma litości nad zwierzęciem, nie ma jéj także nad człowiekiem, i na odwrót ten tylko okaże spółczucie dla bliźniego, kto je ma dla zwierzęcia. Na tym opierając się pewniku, upraszamy uprzejmie dla wspomożenia uczciwego rzemieślnika, introligatora p. K. B., zamieszkałego przy ul. Szpitalnéj (nr. 6), przez dwuletnią chorobę i inne nawiedzenia popadłego w niedostatek i biedę, już nie o datek pieniężny, ale o robotę introligatorską. Nie pragnie on jałmużny, lecz uczciwego zarobku, by utrzymać żonę i dwoje małoletnich dzieci. Quis cito dat, bis dat.

LISTOWNIK.

Pani **E. R.** w **O.** — Za artykulik serdeczne dzięki Umieścimy.

Panu **St. P.** w **R.** — Za pamięć dziękujemy i prosimy o więcéj.

Panu **S. U.** w **R** — Odbitka będzie. Artykuł o koniu pożądany. Oczekujemy.

Gal. tow. ochr. zw. we Lwowie. Prosimy o 6 numer Miesięcznika, gdyż ten nie doszedł jeszcze rąk Redakcyi.

Prof. **Fr. Zn.** w **Ja...** Prosimy o odpowiedź.

Redakcyją numeru zamknięto 22. października 1887.

Nakładem Krak. Stow. Ochrony zwierząt. — W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.